GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1938 R.

Nr. 19 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 19

1938 R.

15 — X

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

ISTOTA WYDARZEŃ

Epoka, którą przeżywamy, nosi na sobie piętno przemian zasadniczych, których jest wynikiem.

Wypadki, jakich byliśmy świadkami w ciągu ostatnich tygodni, dadzą się omawiać z bardzo różnych punktów widzenia. Może o nich mówić — i mówić rozsądnie — polityk i dyplomata, historyk i moralista, ekonomista i wojskowy. Znana wszechstronność zagadnień międzynarodowych daje pole do uwag każdemu, kto umie spojrzeć na wypadki nieco głębiej, i rodzi na skutek tego nie jedną, ale *wiele prawd*. Prawd jednakowo słusznych — i różniących się od siebie nawzajem właśnie owym odmiennym „kątem patrzenia", pod którym poszczególne zainteresowania kierują się na jedno i toż samo zjawisko.

Czy jednak nie sposób we wszystkim, co rozgrywa się ostatnio przed naszymi oczyma, doszukać się jakichś *prawd wspólnych* — jakiejś tego rodzaju *istoty* przechodzących przed nami wydarzeń, która by mogła stanowić trwały fundament rozumowania dla *wszystkich*, którzy mogą myśleć o wielu rzeczach różnie, ale którzy o sprawach *zasadniczych* muszą mieć już nie tylko sąd, ale i wyczucie absolutnie jednakowe?... Czy, krótko mówiąc, wypadki ostatniej doby nie dorzuciły niezniszczalnych i podstawowych prawd dla całego Narodu?...

Spróbujmy odcyfrować tę istotę ostatnich wydarzeń.

*

* *

Historycy i dyplomaci z upodobaniem (jakże skądinąd słusznym...) przeprowadzają paralele pomiędzy obecną sytuacją międzynarodową w Europie a podobnemi konstrukcjami, jakie udaje się im odszukiwać w innych epokach. Paralele takie jak wojny napoleońskie, jak polityka Bismarcka po Sedanie są i efektowne i w wielu wypadkach niewątpliwie nie pozbawione dużej dozy słuszności. Ale podobieństwo to jest raczej formalne niż istotne. To, mianowicie, co każdego uderzyć musi w przemianach europejskich ostatnich lat, leży nie tyle może w *wynikach* przeprowadzanych posunięć, ile w ich *charakterze*. Zdarzało się przecież — i historia pełna jest takich przykładów — że dokonywano w drodze użycia siły orężnej w bardzo ograniczonym czasie wielkich podbojów. Ale niewątpliwym „novum" kataklizmów dzisiejszych jest piorunujące dokonywanie tych podbojów — bez użycia broni. Różnica jest, naszym zdaniem, tak kapitalna, że warto się nad nią zastanowić dłużej.

Od lat kilku już wyrabiać się poczyna pogląd, iż to, co nazywano w XIX-ym wieku „rewolucją społeczną", straciło ostatnio wiele ze swych atrybutów zewnętrznych, że — mówiąc po prostu — „inaczej się robi" rewolucję dziś niż przed stu laty. Jeśli rzucimy okiem wstecz na przemiany społeczne, jakie zachodzą w poszczególnych społeczeństwach po wojnie światowej, to łatwo możemy dostrzec, iż ostatnią rewolucją „starego typu" przeprowadzaną w wielkim kraju była rewolucja rosyjska. Ani marsz na Rzym, ani przejęcie władzy przez Hitlera, ani — biegunowo odmienne w swej treści i formie, ale stanowiące niemniej jednak wielki wstrząs społeczny — prze-

miany we Francji (rząd Bluma) i Stanach Zjednoczonych („new deal”) nie mają już posmaku krwi, barykad i brutalnej walki o władzę „na białą broń”. Wydaje się, że przyczyną tego jest w dużej mierze wyrównanie się sił pracy i kapitału w krajach „demokratycznych” a wyraźna nawet przewaga elementów nie-kapitalistycznych w krajach, gdzie kapitał uległ zniszczeniu albo osłabieniu. Pocóż w takim razie walczyć „na ostrze”, skoro przeciwnik oddaje pozycje bez walki? Tylko w krajach zacofanych, gdzie niski poziom proletariatu ma swój odpowiednik w egoizmie i bezmyślności t. zw. klas posiadających dochodzi jeszcze do prawdziwie krótkich spięć. Hiszpania jest tego aż nazbyt tragicznym dowodem.

Uczyniliśmy całą wspomnianą dygresję po to, aby na jej podstawie przeprowadzić analogię do spraw, bezpośrednio nas na tym miejscu interesujących. Wydaje się, że i wojny pomiędzy *głównymi* mocarstwami świata straciły — przynajmniej na czas pewien — swój dawny i utrwalony historią charakter. Tak jak klasy posiadające w rozgrywce wewnętrznej coraz to częściej uznają za właściwsze odstępowanie poszczególnych swych pozycji po raczej formalnym oporze, tak też i *kraje posiadające* tracą od lat dwudziestu po kolei wszystkie własną swą krwią zdobyte reduty — po prostu dlatego, iż się im to chwilowo „lepiej opłaca”. Lepiej — przynajmniej w pojęciu tych wszystkich, którzy w krajach tych posiadają głos decydujący, a więc w pojęciu *mas*.

Stanowisko mas w „demokracjach” zachodnich daje możność wygrywania z krajami tymi wojen — bez użycia broni. Jeśli tak się dzieje, to, oczywista, tylko dlatego, że masy te mają na wojnie wszystko do stracenia i nic do zyskania. Sens upadku wielkich imperiów świata, ruiny Babilonu i Niniwy, najścia barbarzyńców na Rzym nabierają na naszych oczach przejmującej treści. Ale reminiscencje grzeszą tutaj jedną i zasadniczą rozbieżnością: „demokracje” zachodnie ponoszą te bezkrwawe klęski w *niesłychanie szybkim tempie*.

I dzieje się to niewątpliwie nie dlatego, że osłabienie dynamizmu krajów „sytych” doszło już do takiego apogeum, które wyklucza wszelki, nawet krótkotrwały opór. Źródłem tego zjawiska jest dla nas — naodwrót — zupełnie *wyjątkowy* dynamizm strony przeciwnej. Wydaje się nam, że dotarcie do jego źródeł ułatwiłoby nam zrozumienie wielu prawd natury zasadniczej.

*
* *

W naszym pojęciu źródłem głównym (albowiem istnieje i wiele ubocznych) dynamiki dzisiejszych Niemiec jest fakt, iż zrodził się on nie tylko na gruzach jednego państwa czy ustroju, ale na gruzach *całego systemu* gospodarczo - społecznego, jakim był przedwojenny kapitalizm. Mieliśmy sposobność na łamach „Gospodarki Narodowej” bronić swego czasu tezy, iż ruina gospodarcza Niemiec po traktacie wersalskim była zasadniczym wydarzeniem, podrywającym u podstaw cały mechanizm światowego ustroju kapitalistycznego. Poto bowiem, aby w jakimś ośrodku powstało tak wielkie nagromadzenie dynamizmu, jakie obserwuje się w III-ej Rzeszy, potrzeba, aby zbiegły się *jednocześnie* tak rozbieżne zazwyczaj okoliczności jak przegrana wojna, ruina całej klasy społecznej, stanowiącej ośrodek istniejącego porządku socjalnego, wielkie uzbrojenie techniczne przemysłu zasilone kredytem zagranicznym, wysoki stopień rozwoju cywilizacji i kultury przy jednoczesnym gwałtownym zubożeniu całego społeczeństwa, położenie centralne na kontynencie europejskim przy jednoczesnym nagłym cofnięciu się poziomu życiowego w stosunku do poziomu, istniejącego w sąsiedzkich społeczeństwach na zachodzie Europy itd. itd. itd. Historia uczy nas o dynamizmach powstających wśród dzikich narodów koczowniczych z chwilą, gdy spada na nie klęska głodu. O ileż potężniejsze dynamizmy wywołać mogą te klęski w kraju, gdzie brak analfabetów i gdzie dymią się tysiące kominów fabrycznych...

Dopóki ustrój kapitalistyczny rozwijał się na kuli ziemskiej organicznie i, powiedzielibyśmy, „falowo”, dopóki stopniowo ogarniał swym ongiś tak dobroczynnym działaniem coraz to nowe i nowe ziemie, podnosząc na coraz to wyższe poziomy życiowe coraz to nowe społeczeństwa, musiało z natury rzeczy dynamizmów „światoburczych” brakować. Wstrząs wojenny, wyrodzenie się „falowości” rozmieszczenia bogactw w tym sensie, iż skoncentrowało się ono w nielicznych tylko ośrodkach, oddzielonych niemal przepaścią od wszystkich pozostałych, zachwiało podstawami owego organicznego rozwoju. A fakt, iż wśród owych „nie posiadających” znalazły się kraje, stojące na tak już zaawansowanym poziomie rozwoju społecznego i gospodarczego, musiał dokonać reszty.

Cokolwiek by chciano powiedzieć na temat przyszłego rozwoju stosunków na kuli ziemskiej, niezbitym faktem pozostanie, iż przedwojenny dziejowy rozwój stosunków tych w dziedzinie gospodarczo-społecznej uległ *raz na zawsze* zasadniczej zmianie. Można być bardzo różnych zdań o „gospodarczym uzasadnieniu” ekonomiki krajów nieposiadających, można w setkach argumentów zbijać zasady autarkii, totalizmu czy ustrojów autorytatywnych, ale w niczem to nie zmieni istoty naszej rzeczywistości. Rzeczywistością tą jest, mianowicie, iż świat rozbił się *wyraźnie* na dwa odłamy, które coraz to wyraźniej i szybciej czują, iż przepaść ideologiczna między nimi się powiększa. Po jednej stronie — coraz to bardziej sybarycka *statyka dosytu*, po drugiej — bardzo zróżniczkowana co do stopnia i zaspokojenia, ale posiadająca wszystkie swe zasadnicze elementy wspólne — *dynamika niedostatku*. Dynamika ta jest największa tam, gdzie poziom osiągnięć i związane z nim przyzwyczajenia i ambicje były najwyższe i gdzie zatem poczucie własnej siły oraz niemożności osiągnięcia poprzedniego poziomu rozwojowego jest najsilniejsze. Tu leży, w naszym pojęciu, fundament dynamiki dzisiejszych Niemiec.

*
* *

Jeśli to, co nazwaliśmy dopiero co „statyką dosytu”, mogło i może nadal istnieć w zachodnio-euro-

pejskich krajach „demokratycznych", to przede wszystkim dlatego, iż ma ono oparcie... w geografii.

Podział Europy na dwie grupy krajów wzdłuż linii określonej przez zaspokojenie lub niezaspokojenie najbardziej żywotnych potrzeb każdego narodu nie jest tylko podziałem formalnym. Ma on swój wyraz zupełnie realny w postaci konkretnej linii geograficznej. Linia ta przebiega wzdłuż zachodniej granicy Rzeszy i pozostawia na zachód od siebie również i Szwajcarię. Na północy obejmuje trzy społeczeństwa skandynawskie i Finlandię. Wszystko to, co na wschód lub na południe od tej linii jest czemś innym od tego, co jest od niej na zachód lub północ. Istniał tylko jeden wyjątek — Czechosłowacja.

Geografia pozwala demokracjom Europy zachodniej trwać bezpiecznie chwilowo w „statyce dosytu". Mało kto poważy się na naruszenie status quo na zachód od Renu. Próba taka może grozić zasadniczą zmianą nastrojów w społeczeństwach, które, jakkolwiek tracą dynamizm nazewnątrz, bynajmniej nie znajdują się w stanie wewnętrznego rozkładu. Czechosłowacja — albo, ściślej biorąc, to społeczeństwo, które można uważać za ośrodek myśli państwowej tego kraju, zbudowała swą koncepcję państwową na wzorach zachodnio - europejskich nie tylko dlatego, że pod wpływami tymi stało w chwili swego tworzenia. Miała ona ponadto i odpowiedni fundament gospodarczy w postaci i najbardziej uprzemysłowionej części dawnej monarchii austro - węgierskiej i — co ważniejsza bodaj — w wytworzeniu się własnej niezależności gospodarczej o wiele *wcześniej* od uzyskania niezależności politycznej. Dlatego też Czechosłowacja — państwo t. zw. nowe — w istocie swej miała wszelkie dane dla nabrania psychiki kraju „starego". Inna rzecz, że powinna była we wszystkich swych poczynaniach pamiętać o tem, iż leży... na wschód od Renu.

Nie — po bliższym przypatrzeniu się tym liniom rozwojowym, po których kroczy dziś Europa, — nie ma się ochoty do powracania ku formalnym historycznym porównaniom. Zbyt wiele dziś — w dwadzieścia lat po wojnie światowej — jest „inaczej", aby paralele mogły mieć w sobie coś więcej niż powierzchowną efektowność zestawień. W epoce tępienia się ostrzy konfliktów społecznych wewnątrz poszczególnych krajów przez powolne lub szybsze zwycięstwa interesów większości nad egoizmami mniejszości, w epoce, kiedy wielki kapitalizm jednoczy się wkrajach posiadających dla obrony *wspólnego* swego stanu posiadania ze zorganizowanym światem pracy, w epoce, kiedy ostatni „wielki rewolucjonista" świata, szarpany wewnętrznemi konwulsjami, coraz to silniej zatraca nawewnątrz swoją klasową skrajność, utrzymując ją ad usum podkładki ideologicznej pod najbardziej realne swe interesy państwowe, kiedy wojny prowadzi się w krajach egzotycznych i kolonialnych ale w obliczu niebezpieczeństwa wojennego w *centrum Europy* akcje wielkich przemysłów wojennych... spadają, kiedy centrum finansowe świata traci podczas paniki setki milionów w złocie, które *nie chcą zarabiać na wojnie* — albowiem wiedzą z góry, iż interwencjonizm gospodarczy państw w każdej chwili może je wywłaszczyć, kiedy — słowem — istnieją tak niesłychane sprzeczności i tak fantastyczne odruchy, jakich nigdy nie można było by przewidzieć, wszelkie porównania tracą sens. Pozostaje tylko empiria oparta na *realnym* zrozumieniu rzeczywistości.

A to właśnie jest — najtrudniejsze. Nie tylko dlatego, że komplikacje życiowe naszego świata są i coraz większe i coraz trudniejsze do uchwycenia. Ale i pewnie wskutek tego, że dynamika wypadków biegnie szybciej od dynamiki ludzkich mózgów. Nie chce — dosłownie *nie chce* się nam wierzyć w rzeczy, które za chwilę staną przed nami jako fakt. Łudzimy się — wyrośli w niedawnych a przecież tak innych czasach — że nie wszystko chyba uległo przeobrażeniom. I przekonywa się w większości wypadków, że jednak bywaliśmy zbyt doktrynerscy, że przecenialiśmy jedne imponderabilia nie doceniając innych, że chcieliśmy widzieć niektóre rzeczy takimi, jakimi nie są, a takimi, jakimi chcielibyśmy, aby były... I wyblakły frazes — „realizm polityczny" — nabiera w tych warunkach zgoła innego znaczenia.

Istota rozgrywających się wobec nas wydarzeń każe nam uprzytamniać sobie „na zimno" położenie, w którym każdorazowo Polska znajduje swe „miejsce pod słońcem". Określać je należy precyzyjnie i bez złudzeń. Wówczas możemy mieć takie wyniki, jak powrót do kraju zrabowanych nam terytorjów w chwili, kiedy nastąpił jeden z głównych aktów rewizji traktatu wersalskiego.

WITOLD PTASZYŃSKI

KROK NAPRZÓD

Doświadczenia pieniężno-finansowe z końca września nie tylko uwidoczniły wysoką zdolność techniczną aparatu bankowego, wykazały one również, żeśmy lepiej zrozumieli długo zapomnianą prawdę o ścisłym związku między rynkiem pieniądza i rynkiem towarów: — zrzuciliśmy balast deflacyjnej frazeologii.

Nie łatwo znaleźć równie przejrzysty podział osób zainteresowanych pewną dziedziną życia społecznego, jak podział występujący wśród polskich ekonomistów oraz polityków i publicystów gospodarczych. „Statycy" stanowią wśród nich przygniatającą większość, — „dynamicy" (stanowili) „przygniataną" mniejszość. Zazwyczaj mówi się o „pasywistach" i „aktywistach", porzucamy jednak tę terminologię, bo nie twierdzimy, by nasi „statycy" byli z reguły „pasywistami" lub pasywnymi w wypowiadaniu i realizowaniu swego statycznego nastawienia gospodarczego. Nastawienie — rodzaj formuły psychologicznej — jest właśnie kryterium wyróżniającym „statyków" od „dynamików".

W krótkości — „statycy" należą do tej kategorii osób, które mogą zaakceptować wszelkie zmiany post factum, ale nigdy nie decydują się na wprowadzenie zmian, o ile wymagają one ryzyka i prowadzone są na skalę większą od dotychczas praktykowanej. Oczywiście, z takim nastawieniem spotykają się w obozie „statyków" ludzie o formalnie dość rozbieżnych poglądach ekonomicznych, podobnie jak wśród „dynamików" istnieje niejedna szkoła ekonomiczna, lecz jedno psychiczne nastawienie: myśleć bez obaw o posunięciach całkowicie nowych i nie wahać się zastosować ich do powstających potrzeb życia.

Odcinek polityki finansowej jest tym odcinkiem naszej polityki gospodarczej, na którym od lat 15 niemal grupował się największy i najsilniejszy zespół „statyków". Zawdzięczamy im może dużo dobrego w wynikach naszej gospodarki finansowej — ale napewno im również zawdzięczamy, że wiele dobrego nie zostało dotychczas dokonane. Bo właściwie cóż hamowało dynamizm młodego organizmu gospodarczego Polski, usiłującego zwalczyć anemię kapitału i wchłonąć nadmiar rąk wolnych do pracy? Hamulcem było twierdzenie „statyków": nie mamy kapitałów, a zatem nie stać nas na dynamizm. Właściwie nie było w tej ocenie sytuacji nic nowego — było raczej powszechnie przyjęte stwierdzenie stanu faktycznego plus *zalecenie wyczekiwania*. Dynamizm, który by prowadził do przyśpieszonego tworzenia nowych kapitałów został odrzucony a limine, jako sprzeczny z zasadami głoszonemi przez dobrych profesorów, lecz słabych ekonomistów paryskiej „École des Sciences Politiques", przez równie nieciekawego Gide'a, oraz przez nauczycieli wiedeńskiej ekonomii psychologicznej — epigonów nauki z początku XIX w.

W rezultacie procesy, które nie mogły utrzymać się w ramach zaleceń wyczekiwania, a które mimo wszystko nie zdołały sforsować frontu „statyków", rozwinęły się poza temi ramami — na terenie zadań ściśle określonych. Powstała zasada uprzemysłowienia w imię militarnie i społecznie pojętej obrony narodowej oraz C. O. P. jako jej praktyczny wyraz. Ani C. O. P., ani szerzej pomyślane plany inwestycyjne rządu nie stanowią rozwiązań w pełnej skali naszych możliwości i potrzeb, ale może dzięki temu właśnie „statycy" nie zdołali się im przeciwstawić. Przyjęli C. O. P. i plany inwestycyjne za swoje — i można wnosić z prasy, że coraz lepiej rozumieją, iż o odstąpieniu od nich nie może być mowy, gdyż zbyt silnie weszły już one w świadomość społeczną jako jeden z pozytywnych czynników lepszej i mniej beznadziejnej przyszłości. Opinia ta urobiła się jakoś nadspodziewanie szybko pod bokiem „statyków" i w przyszłości ta sama opinia oparta o te same co zawsze, lecz niegdyś nieuświadomione, konieczności narodowo-gospodarcze — domagać się będzie realizacji planu uprzemysłowienia kraju, nawet wbrew uświęconym poglądom finansowym „statyków". Narzekania na kryzys i na formalny brak środków pieniężnych nie zdołają tym razem powstrzymać biegu tworzenia nowych wartości gospodarczych.

Na drodze ku tej zdecydowanie anty-deflacyjnej i anty-inflacyjnej, a dynamicznie pro-wytwórczej — polityce finansowej uczyniliśmy właśnie krok naprzód.

Ostatnie doświadczenia bankowo-finansowe, związane z sytuacją polityczną w dniach przełomowych, wykazały dużą sprawność techniczną naszego aparatu kredytowego. Zarówno oficjalną enuncjację na ten temat, jak i podkreślenie faktu przez prasę — uznać należy za momenty pozytywnie *wspomagające* całość polityki gospodarczej.

Dowiedzieliśmy się, że na ogólną liczbę około 3 miliardów zł wkładów „odpłynęło w dniach napięcia ponad 300 mln. zł" [1]). Aby podołać tej masie wypłat, instytucje bankowe uczyniły wiele wysiłków, rozważając nawet projekt uruchomienia dodatkowych punktów wypłat. W centrali P. K. O. gdzie normalnie załatwia się przy okienkach kilkuset klientów dziennie, załatwiano w dniach napięcia 4 — 5 tysięcy.

W Banku Polskim, w oddziale warszawskim, dyskontowano po 18 — 20 tys. sztuk weksli dziennie, podczas gdy normalnie rynek prezentuje 2 — 3 tysiące sztuk weksli do dyskonta. Dzień pracy w nie-

[1]) Wzrost wykorzystanych kredytów łącznie z odpływem pieniądza z rachunków żyrowych wyniósł w Banku Polskim 432 mln. zł!

których instytucjach dochodził w/g informacji prasowych — do 22 godzin na dobę.

Ministerstwo Skarbu stanęło na stanowisku, że najlepszym sposobem zapobieżenia panice jest utrzymanie swobodnej wypłaty wkładów, gdyż wkładca nie jest zainteresowany w trzymaniu pieniędzy przy sobie z chwilą, gdy wie, że w każdej chwili pieniądze może podjąć. W „Polsce Gospodarczej" p. J. P-ka ogłosił, — niewątpliwie z aprobatą właściwych czynników, komentarz do stanowiska Ministerstwa Skarbu i Banku Polskiego, wyjaśniając w sposób przejrzysty na konkretnych przykładach obcych, że wzrost emisji banknotów nie musi bynajmniej wywołać wzrostu cen i płac oraz dalszych konsekwencyj typu inflacyjnego. Również i spadek pokrycia kruszcowego ze swej natury konsekwencyj takich bynajmniej nie powoduje.

Od zagadnienia sprawności technicznej naszego aparatu bankowego przeszliśmy zatem na teren polityki finansowej.

Fakt, że komentarz p. J. P-ka został ogłoszony, wskazuje, że jednak nasze, t. j. polskie dotychczasowe wyobrażenia o pokryciu złotem i o ilości pieniądza emitowanego, niezupełnie wystarczały do właściwego zrozumienia ostatnich zmian na rynku pieniężnym. Piętno fałszywych wyobrażeń, ustalanych systematycznie od r. 1924, a pogłębionych w okresie polityki deflacyjnej, ciążyło jeszcze, jak widać, nad naszymi poglądami w kwestiach pieniężno-kredytowych. Mówiono nam do niedawna o skutkach złowrogich wszelkiej emisji ponad nieruchomy praktycznie plafon minimalnego pokrycia złotem. Dopiero, gdy wydarzenia zewnętrzne zmusiły nas do zajęcia stanowiska, umieliśmy — i to jest największy zysk z doświadczeń — porzucić frazeologię zapomnianą w wielu krajach i przez większość ekonomistów. Obieg biletów w ciągu 10 dni rozszerzył się o więcej niż ⅓ stanu dotychczasowego, a pokrycie spadło poniżej minimum — do 27%, nie powodując w najmniejszej praktycznie mierze ujemnych skutków, których na podstawie poprzednio ferowanych opinii moglibyśmy oczekiwać.

Niewątpliwie pewna ilość osób wypowiadając te opinie zdawała sobie sprawę, że podporządkowuje się jedynie ogólnym dyrektywom polityki pieniężno-finansowej, nie uznając skądinąd za trafne wypowiadanych poglądów. Ale owe błędne wyobrażenia o znaczeniu obiegu pieniężnego były również przyjmowane i wypowiadane z pełnym przekonaniem o ich trafności, trudno bowiem przypuścić, aby prowadzono politykę finansową na określonych podstawach, nie mając nawet psychologicznego przeświadczenia o ich większej zasadności, niż podstaw innych.

Na czem polegał błąd? Czy z ostatnich doświadczeń wynika, że emisja środków płatniczych nie wpływa na poziom cen i nie grozi skutkami, znanymi z okresów inflacji?

Pewne jest, że ceny poszczególnych towarów zależą od stosunku podaży do popytu na te towary. Dla istnienia popytu konieczna jest siła nabywcza w jakiejkolwiek postaci oraz chęć zawarcia tranzakcji i wymiany tej siły na towar. Zatem dopóki nie ma uzewnętrznionej chęci zawarcia tranzakcji — istnienie siły nabywczej na rynku jest najzupełniej obojętne dla poziomu cen w danym momencie. Obojętne także jest przeto z tego punktu widzenia, czy 300 mln. zł istniało lub nie istniało w obiegu gotówkowym (t. j. czy Bank Polski zwiększył czy nie zwiększył swej emisji) — obojętne tak długo, jak długo:

1) właściciele siły nabywczej nie zmieniają swych poprzednich zamiarów co do zużycia tej siły, dawniej posiadanej we wkładach, a dziś w biletach bankowych,

2) jak długo polityka kredytowa nie ulega żadnej zmianie — a zatem nie są zmniejszone kredyty, udzielone na podstawie dawnych wkładów oraz

3) jak długo rynek towarowy nie uwzględni w swych ocenach przyszłości faktu wycofywania wkładów. Punkt 3) wymaga bliższych wyjaśnień.

Wycofywanie wkładów wywołuje reakcję rynku towarowego nie tyle może w przewidywaniu skierowania wycofanej gotówki na ten rynek — ile raczej przez wzmożenie niepokoju, którego źródła leżą niekiedy poza sferą ściśle gospodarczą. Fałszywe (teleologicznie) u podstaw, a propagowane przez uproszczoną politykę gospodarczą, wyobrażenie, że każde zwiększenie obiegu prowadzi do inflacji — również wpływać może w chwili wycofywania wkładów na zwyżkę ceny w tranzakcjach proponowanych lub dokonanych. O ile jednak po stronie nabywców nie nastąpi zmiana dotychczasowego wachlarza preferencji w sprawie dokonania tranzakcji, wówczas i zwyżka ceny nie zdoła się utrzymać na rynku. Zwyżkujące ceny mogą wszakże wpływać na nabywców zachęcająco do kupna, t. j. zmienić ich wachlarz preferencji, co z kolei skłoni sprzedawców do stawiania wzmocnionych żądań, wywołując nowy popęd do zakupów, itd. Taki proces formowania się cen jest łatwo możliwy, zostaje on jednak zahamowany, o ile na części rynku ceny utrzymują się bez zmian (choćby dlatego, że sprzedawcy i nabywcy tej branży są mniej nerwowi), lub gdy istniejąca siła nabywcza używana do tranzakcji (t. j. rachunki i banknoty) jest fizycznie za mała do przeprowadzenia wszystkich tranzakcji rynku. W wypadku niebezpieczeństwa wojny chęć zmiany dotychczasowego zużycia siły nabywczej (np. na zakup świec, żywności etc.) i gotowość do płacenia zwiększonych cen (np. za surowce) stać się może dość powszechna na wszystkich odcinkach rynku towarowego, a tem samem nie ma powodu, aby ceny nie poszły w górę. Jeżeli ilość siły nabywczej na rachunkach i w pieniądzu pozwoli na dokonanie w umówionym czasie zapłaty na towar — nie ma również powodu przypuszczać, aby ceny obniżyły swój poziom. Jest to warunek ściśle fizyczny. Bank, w którym każdy obywatel posiadałby rachunek i mógł płacić przelewami, zatrudniając odpowiednią ilość urzędników, pozwalałby (w omawianych wyżej okolicznościach) na nieograniczony wzrost cen, o ile udzielałby kredytu na podstawie wkładów powstałych z przelewu.

Jeżeli zatem przyjąć, że obroty na rachunkach bankowych mogłyby pozwolić na dokonanie równie wielkiej ilości tranzakcyj co obroty gotówką po wycofaniu jej z banków — wówczas jest rzeczą obojętną

w jakiej postaci siła nabywcza się ujawni, gdyż poziom cen zależeć będzie wyłącznie od elementów psychologicznych rynku towarowego. Ponieważ tak czy inaczej ceny mają rosnąć, przeto polityka najbardziej właściwa polega na niepodniecaniu osób występujących na rynku *towarowym* zarządzeniami jakoby „ochronnymi" na rynku pieniężnym. Wprawdzie w Polsce — wkłady, zwłaszcza te, które ostatnio wycofano, odgrywać mogą rolę wyraźnie mniejszą niż gotówka jako instrument wypłat, jednak w całości rynku towarowego znaczenie 300 mln. zł nie jest tak zasadnicze jakby to sugerowały cyfry. Idzie bowiem o reakcję rynku *towarowego*, na którym większość sprzedawców i nabywców nie przekształca swej siły nabywczej z wkładu na gotówkę, a jedynie reaguje na zarządzenie dotyczące rynku pieniężnego, traktując je jako wskaźnik sytuacji. Wstrzymanie zatem wypłaty wkładów mogłoby wpływać na ceny towarów silniej, niż ewentualne zakupy osób, które by wkłady wycofały, w wypadku niewprowadzenia moratorium. Jakiekolwiek wyliczenia rachunkowe są zupełnie niemożliwe w tym zakresie, jednakże istnieją jeszcze inne powody, które sprawę ograniczenia wypłat przesądzają negatywnie.

Wzrost cen jest możliwy przy niezmienionym stanie rachunków bankowych i obiegu pieniądza w dość szerokich granicach na skutek zwiększenia szybkości zawierania tranzakcji towarowych. Następuje to właśnie w wypadku zbiorowych, t. j. szeroko rozpowszechnionych identycznych reakcji na rynku, wywołanych np. niebezpieczeństwem wojny. A zatem nawet zablokowanie 300 mln. zł i utrzymanie obiegu i kredytów w niezmienionych granicach nie mogłoby stanowić zapory dla zwyżkowego ruchu cen, jeśli odpowiadałby on reakcjom rynku towarowego.

Istota błędu w koncepcjach naszej długoletniej polityki pieniężno - finansowej polegała praktycznie na tem, że poza pieniądzem nie widziała ona rynku towarowego, mimo, że w/g półoficjalnych wypowiedzi zarzut taki sama stawiała swym nielicznym zresztą przeciwnikom. Wychowywanie społeczeństwa z myślą, że każde istotne zwiększenie obiegu jest równoznaczne z groźbą inflacji i dewaluacji, mogło istotnie wytworzyć na rynku towarowym psychozę sprzyjającą gwałtownej zwyżce cen w wypadku wzrostu obiegu pieniężnego. Błąd tkwił zatem in initio samej polityki.

Od chwili wprowadzenia ograniczeń dewizowych zasady dawnej polityki pieniężno - finansowej, formalnie przypominane niekiedy, straciły całkowicie swój rygoryzm pseudonaukowy, a stanowisko zajęte w kwestii wypłaty wkładów powinnoby ostatecznie zamknąć okres poprzedni.

Polityka tego okresu uniemożliwiała pełne wykorzystanie zdolności produkcyjnej kraju, nie uznając uzupełniania potrzeb kredytowych rynku w drodze dostatecznie liberalnej polityki banku emisyjnego. Że zdolność ta nie była wykorzystana — to zdaje się nie ulegać wątpliwości; że także obecnie znalazłoby się sporo inwestycyj rentownych nawet w rolnictwie (komasacja) — to również posiada cechy znacznego prawdopodobieństwa. Na rynku, który dysponuje wolną marżą produkcyjną i tak długo jak marży tej nie wykorzystał ceny w górę pójść nie mogą, nawet przy wypuszczeniu dowolnej ilości pieniądza lub kredytu, pod jednym jednakże warunkiem. Warunkiem tym jest *przeświadczenie ludności, że nie grozi zwyżka cen*, czy to zwyżka ze względu na fakt wypuszczenia pieniądza, czy też z powodu niebezpieczeństwa wojny itp. Gdy warunek nie jest zachowany dokonywa się proces wzrastania cen w sposób sygnalizowany już wyżej, przyczem nowe ilości pieniądza ułatwiają techniczne posługiwanie się zwiększonemi cenami. W wypadku zachowania warunku — zakupy dokonywane dzięki nowej emisji lub nowym kredytom nie wyczerpują ex definitione możliwości produkowania, a zatem podaż pozostaje zawsze dopasowana do popytu i nigdy nie może być od niego niższa. Z chwilą zatrudnienia pełnej zdolności wytwórczej kraju dalsze rozszerzenie popytu przez operacje kredytowe prowadziłoby dc zwiększenia go ponad wyczerpane już możliwości podaży, a tem samem wywołać by musiało zwyżkę cen. Zatem nie ekspansja kredytowa bilansowo mierzona, ale wyłącznie poziom cen stanowi wskaźnik dla polityki kredytowej — o ile, jak powiedzieliśmy, wiadomy warunek będzie zachowany. Cóż zatem sądzić o polityce gospodarczej kraju, który powinien możliwie do najdalszych granic wykorzystać swą zdolność produkcyjną, gdy propaguje ona hasła sprzeczne z owym warunkiem. Straszenie społeczeństwa inflacją jest bodaj największym nieporozumieniem, jakie można by znaleźć na terenie polityki gospodarczej. Jest to błąd in initio, który przekreśla wszelką intensyfikację gospodarczą. Inflacji nie należy czynić, — przyjmuje się to za założenie, — a tymczasem przygotowuje ją ten, kto pobudza obawy, że ona wystąpi. Stajemy tutaj wobec zjawiska specyficznych, samopobudliwych reakcyj gospodarczych, bez uwzględnienia których organizacja życia ekonomicznego nie może postąpić naprzód. Instytucje, któremi się posługujemy zostały wytworzone bez uwzględnienia skutków samopobudliwości gospodarczej — i stąd np. pochodzi, przy współczesnej ewolucji państwa, zbędna zgoła jawność operacyj banku emisyjnego. Nie idzie nam tu jednak o tak pozornie daleko idące wnioski, a jedynie o wskazanie, że fakt wpajania w umysł przeciętnego człowiego gospodarującego ex principio fałszywej opinii, iż zwiększenie obiegu pieniężnego powoduje zwyżkę cen — uniemożliwia prowadzenie polityki wykorzystania pełnych zdolności wytwórczych kraju przy jednoczesnym całkowitym wyeliminowaniu zwyżki cen.

*

* *

Zaprzeczeniem powyższej metody kopania dołków pod własnemi nogami jest wspomniana już poprzednio enuncjacja Ministerstwa Skarbu na temat niedawnych wydarzeń finansowych.

Tem mocniej zatem przeciwstawić się należy błędnym wnioskom wysnuwanym z interpretacji tego stanowiska i prowadzeniu, przy okazji, równie błędnych rozważań ogólnych.

Przede wszystkim nie ma powodów do wychwalania naszej dawnej polityki na odcinku kredytowym. Coprawda narazie nie mamy jeszcze nowej wyraźnie sprecyzowanej, ale niewątpliwie wprowadziliśmy do dawnej polityki elementy przedtem jej nieznane, a droga do nowej jest znacznie bliższa, zwłaszcza,

jeśli w pełni zużytkujemy sens ostatnich doświadczeń.

Dziwne wydają się uwagi, jakie ukazały się w prasie [1]) na temat tych doświadczeń. Prowadziliśmy „klasyczną" politykę bankową i to jakoby uchroniło nas od katastrofy, strzec się zatem mamy na przyszłość „wciągnięcia naszej bankowości na drogę bezpośredniego finansowania życia gospodarczego w imię szczytnych haseł uprzemysłowienia kraju".

A dalej czytamy taką również „klasycznie" polską kołysankę przy której żaden wkładca nie zasnął spokojnie: „o ile dla krajów bogatych posiadających ogromne rezerwy kapitałowe i psychicznie bardziej odporne społeczeństwa wejście na wspomnianą drogę byłoby tylko niebezpiecznym eksperymentem, to dla Polski, znajdującej się dziedzinie kapitalizacji pieniężnej dopiero na dorobku, której społeczeństwo na punkcie powierzonych kapitałów jest przewrażliwione" itd. Przede wszystkim widać, że zachwalana długoletnia polityka pieniężno-kredytowa okazała się czynnikiem wydatnie utrzymującym bądź rozwijającym przewrażliwienie, następnie zaś — że autor tych wywodów nie zadał sobie trudu przejrzenia bilansów np. banków angielskich. Przeglądając je przekonałby się, że to, co wyobraża sobie jako możliwy eksperyment, od kilku lat zostało już zrealizowane. Portfel dyskontowy w wielkich bankach angielskich stanowi obecnie około 50% wysokości portfelu papierów wartościowych. Ale wspominamy o tem tylko nawiasem, gdyż nie interesujemy się w tej chwili w jaki sposób polskie banki prywatne będą lokowały zebrane wkłady. Uwagi wypowiedziane w prasie terminologiczne niekiedy można by sprowadzić do powyższego zagadnienia, ale duch, w którym zostały wypowiedziane, obejmuje niewątpliwie całość podstaw naszej polityki pieniężno - finansowej. Dawniej deklarowano się bardziej szczerze — dziś droga okrężna również jest praktykowana, bo coraz trudniej podtrzymywać otwarcie stare tezy wbrew rzeczywistości i wbrew oczywistym koniecznościom własnego organizmu gospodarczego i politycznego.

Uniknęliśmy katastrofy (jeśli przyjąć wątpliwe założenie, że środkami techniczno - finansowymi można jej uniknąć) nie dzięki zastosowaniu „klasycznych" zasad, bo trudno do nich zaliczyć gwałtowne zwiększenie emisji o ⅓, ale raczej dlatego, żeśmy kierowali się zrozumieniem życia gospodarczego, nie oglądając się na nalepkę pseudonaukową, jaką przyklei nam publicystyka ekonomiczna. „Klasyczne" miało być chyba to przynajmniej, że upłynniony został także portfel wekslowy obok papierów wartościowych. Ale oczywiście upłynnia się taki walor, jaki się posiada i jaki upłynnić pozwalają obowiązujące, choćby nienajdoskonalsze, przepisy instytucji emisyjnej. Trudno posądzać dyrekcje banków polskich o odmienne zrozumienie lub postępowanie w tym zakresie. Zresztą warto dodać, że redyskonto weksli znalazło w dniach runu stosunkowo znacznie skromniejsze zastosowanie niż lombard walorów długoterminowych, ponieważ portfel weksli w Banku Polskim wzrósł o 23%, zaś portfel walorów o 390%, pod względem zaś absolutnej wysokości wzrost wyniósł o 163 i respective 164 mln. zł. Najbardziej „klasyczne" lokaty okazałyby się niepłynne, gdyby Bank Polski nie udzielił im swej płynności emisyjnej — jedynej w ogóle jaka istnieje w ekonomice poza płynnością uzyskiwaną poprzez deflację kredytów. Bank Polski mógłby zatem z równym powodzeniem dyskontować walory długo, średnio i krótkoterminowe będące odpowiednikami kredytów udzielonych w imię — „szczytnego hasła uprzemysłowienia kraju" i poprzez upłynnienie tych walorów dostarczyć potrzebnej gotówki na wypłatę wkładów. Zresztą miejmy nadzieję, że szereg walorów już dyskontowanych przez Bank Polski również powstał jako wyraz uprzemysłowienia kraju.

[1]) Depesza (10.10.38 r.) i inne.

* * *

Na temat polityki emisyjnej wypowiadaliśmy się merytorycznie już w pierwszej części tego artykułu, stwierdzając, że elastyczna polityka emisyjna nie stwarza żadnego niebezpieczeństwa jak długo kraj posiada niewykorzystane możliwości produkcyjne, dające rentowne, w drodze bezpośredniej lub pośredniej, zatrudnienie uczestniczącym kapitałom. Niebezpieczeństwo istnieje *zawsze, nawet przy najbardziej „klasycznej" polityce emisyjnej*, jeśli na rynku *towarowym* zostanie wywołany niepokój, a to bądź przez propagandę fałszywych z natury wyobrażeń gospodarczych bądź przez obiektywne wypadki zewnętrzne.

Z tych merytorycznych konstatacji płyną wnioski w sprawie polityki Banku Polskiego na najbliższą już przyszłość.

Wkłady odpłynęły w obawie przed zamknięciem okienek bankowych i dziś, gdy z jednej strony niebezpieczeństwo to zostało zdementowane czynem, a z drugiej, gdy sytuacja polityczna uległa wyjaśnieniu — nie należy oczekiwać, aby wkłady weszły w poważniejszej mierze w obieg gospodarczy poprzez inwestycje. Niemniej jednak wycofana gotówka, kierowana siłą bezwładu tem większą, że pozostającą pod wpływem okresu przejściowego jaki przeżywamy politycznie i gospodarczo — może dość powoli wracać do instytucji bankowych. Szybkie zapoczątkowanie powrotu stwierdzono w początkach października łączyło się z decyzjami elementu najbardziej rzutkiego wśród wkładców — tak, że o tempie powrotu w przyszłości nie można sądzić na podstawie dorywczych obserwacyj dotychczasowych. Było by jednak nieporozumieniem, gdyby — obserwując powolny dopływ wkładów — nasza instytucja emisyjna zamierzała skłonić swych pożyczkobiorców do spłaty zobowiązań zaciągniętych w okresie runu — nie z powolnego dopływu wkładów, lecz ze środków uzyskiwanych przez nieodnawianie kredytów dla handlu i przemysłu. Zwężenie obiegu do granic z przed końca września uprzedzające dopływ wkładów do banków instytucji oszczędnościowych oznaczałoby powrót do polityki deflacyjnej, grożącej zapoczątkowaniem nowego okresu depresji.

Ostatnia uchwała Rady Banku Polskiego o niepodwyższaniu stopy dyskontowej, mimo pozorów cyfrowych — uzasadniająca podwyższenie — pozwala mniemać, że zarówno niebezpieczeństwo deflacji, jak i związek między rynkiem pieniądza i towarów, są obecnie bardziej doceniane przez Radę i Min. Skarbu niż w latach ubiegłych.

TADEUSZ NOWACKI

DEWALORYZOWANIE GDYNI

Instrument transportowy, jaki stanowi obecna Gdynia, ma rację bytu przede wszystkim jako pomoc handlowa w zewnętrznym obrocie i funkcjach eksploracyjnych gospodarstwa narodowego. Obecna polityka morska, zasklepiona w kategoriach różnych form popierania transportu, odbiera przeznaczeniu Gdyni najważniejsze wartości.

W r. 1938 mija 10 lat od czasu rozpoczęcia właściwej eksploatacji portu gdyńskiego. Ten pierwszy, nieoficjalny, opierający się na trudnej do ustalenia dacie — jubileusz Gdyni, może być powodem do skreślenia kilku uwag w przedmiocie dynamiki i kierunków rozwojowych naszego portu na Bałtyku, zwłaszcza, że owe 10 lat, będące właściwie okresem budowy Gdyni, nauki i doświadczeń w dziedzinie eksploatacji portu — stanowi niejako pierwszy okres jego historii, okres — który w tej chwili można prawie uważać już za zamknięty.

Jest zrozumiałe, że w pierwszym okresie budowy i początkowej eksploatacji portu: musieliśmy stosować pewne, określone, dostosowane do zadań kryteria polityki gospodarczej na odcinku morskim. Kryteria te i dyspozycje miały na celu w pierwszym rzędzie doprowadzić skutecznie do budowy samego portu w sensie technicznym, oraz do stworzenia jego podstawowej organizacji w dziedzinie transportu lądowego i morskiego, oraz przeładunku, które to elementy łącznie stwarzały pewną całość instrumentu dla międzynarodowej komunikacji towarowej, jakiego Polska była przed stworzeniem Gdyni w dużej mierze pozbawiona.

Okres wspomnianego budowania technicznych i organizacyjnych podstaw Gdyni jako instrumentu komunikacyjnego dobiega końca. Wprawdzie port gdyński nie jest jeszcze całkowicie gotowy do spełnienia zadań, jakie powinny go czekać — niemniej jednak obecny stan jego urządzeń technicznych i organizacji transportowej jest na tyle wystarczający, że można Gdynię już uważać za czynny i skutecznie pracujący instrument naszej polityki morskiej, można się więc również zastanowić jakim celom ma ten instrument służyć.

Jest zjawiskiem dość pospolitym w polityce gospodarczej, że rozwój i doskonałość jej instrumentów wyprzedza rozwój kryteriów mentalnych, które ten instrument zrodziły. Ze zjawiskiem tym coraz wyraźniej mamy do czynienia na odcinku polityki morskiej — tembardziej więc należy poważnie pomyśleć o rewizji jej dotychczasowych kryteriów.

Wszystko to, co zostało w Gdyni zrobione w pierwszym dziesięcioleciu jej rozwoju, a co doprowadziło w rezultacie do stworzenia dużych rozmiarów punktu komunikacyjno - przeładunkowego można uważać jedynie za wstępną fazę pracy na terenie naszej gospodarki morskiej, fazę uzbrojenia technicznego i organizacyjnego wybrzeża. Żadne jednak uzbrojenie nie może być nigdy samo w sobie celem, jest i pozostanie zawsze środkiem dla innych celów. Podstawowe zatem funkcje dzisiejszej Gdyni — tj. funkcje transportowe — uważać należy nie za cel gospodarczy sam w sobie określony, lecz za instrument pomocy handlowej w dziedzinie obrotu zagranicznego, a idąc jeszcze dalej — wszelkich form polskiej ekspansji zamorskiej.

W hierarchii korzyści ekonomicznych, jakie dany obszar ciążący do portu może z jego eksploatacji osiągnąć — na pierwszym miejscu należy postawić rozwój handlu zagranicznego i wszelkie jego polityczno - gospodarcze reperkusje, aż do eksploatacji kolonialnej włącznie. Handel — to właściwy cel, — cała zaś organizacja komunikacyjna i przeładunkowa portu — to zaledwie jeden z wielu środków pomocy handlowej — środków mających wprawdzie swoje poważne znaczenie, jako współczynnik dyspozycyjny w mechanice obrotu towarowego, — lecz znajdujących swoją rację bytu jedynie jako pomoc techniczna, ułatwiająca przeprowadzanie interesów handlowych — i to współczynnik bynajmniej nie najważniejszy. Mówiąc językiem bardziej lapidarnym interesy kraju w porcie symbolizuje nie spedytor, przeładowca, czy makler, ani nawet nie armator — lecz kupiec i przede wszystkim kupiec. Dlatego też, polityka wysokich cen usług transportowych, prowadząca do kapitalizacji w branży transportowej może być tylko o tyle usprawiedliwiona w sensie polityczno - gospodarczym, o ile tej kapitalizacji towarzyszy pożądana ewolucja przeznaczenia tych kapitałów, prowadząca od sprzedaży usług do sprzedaży towarów i od sprzedaży towarów do eksploracji zamorskiej — wielofunkcjonalnej w sensie gospodarczym i finansowym.

To uporządkowanie pojęć w zakresie naszej gospodarki morskiej wydaje się obecnie szczególniej aktualne, zarówno ze względu na dotychczasowe nastawienie naszych miarodajnych czynników gospodarki morskiej, jak i na klimat polityczno - gospodarczy tzw. sfer gospodarczych Gdyni. Obydwa bowiem te środowiska produkujące kryteria obecnej polityki morskiej sugerują niebezpieczną na dalszą metę tezę, że kran portowy i magazyn — to alfa i omega życia gospodarczego portu. Tem się tłómaczy, że zainteresowania społeczeństwa zwracają się głównie w kierunku pytania — ile ton Gdynia przeładowuje, a nie ile zarabia kupiec, dzięki ułatwieniom transportowym w Gdyni. Port to niejako fabryka przetwarzająca towar w przestrzeni — o dobrej lub złej kalkulacji tej fabryki, o jej dywidendzie decydują bynajmniej nie maszyny lecz jej organizacja handlowa.

Jest zrozumiałe, że w pierwszej fazie tworzenia

Gdyni należało przede wszystkim stworzyć jej organizację transportową, bez której w ogóle nie ma portu. Ta pierwsza faza ma się jednak ku końcowi. Czas przejść do drugiej fazy tworzenia portu, jako wielofunkcjonalnego ośrodka gospodarczego Polski, wiążącego w sobie znaczną część zainteresowań Państwa w gospodarce światowej. Tylko tak pojmowana organizacja portu może przyczynić się do realizacji dalszych i najdalszych celów naszej ekspansji zamorskiej. Ani bowiem spedytor ani makler okrętowy nie może mieć poważniejszego wpływu na rozwój naszych interesów zamorskich oraz wszelkich form ekspansji handlowej, określanych jako akcja kolonialna. Wpływ ten zaś może mieć wyłącznie kupiec, zwłaszcza wspierany przez własną banderę. Czas stworzyć, w Gdyni prawdziwe interesy i prawdziwych interesantów portu — wielkich kupców międzynarodowych.

W nadchodzącej fazie rozwoju naszej gospodarki morskiej budowa organizacji handlowej w Gdyni wysuwa się absolutnie na czoło istniejących postulatów programowych. Handel jest instrumentem dynamicznej i aktywnej gospodarki morskiej, który jedynie może ułatwić osiągnięcie jej właściwych celów w postaci rozszerzenia granic gospodarczych Państwa.

Wniosek stąd prosty — nasza polityka morska powinna już obecnie wyraźnie i zdecydowanie przestawić zwrotnicę z ustawicznego, nader jednostronnego popierania handlu usługami transportowemi, na popieranie handlu zamorskiego, opartego o organizację portową Gdyni. O transport nie ma się już co niepokoić. Jest on już w Gdyni dość mocny, aby potrafił doskonale się wyżywić z narastających interesów handlowych i ich następstw fizycznych w postaci nowych ładunków.

O ile handel jest instrumentem dynamicznej gospodarki morskiej — o tyle podstawą jej statyki są trwałe formy zagospodarowania wybrzeża. Pod pojęciem trwałości rozumiemy takie formy, które by zabezpieczały należycie ciągłość polskiej gospodarki morskiej oraz dawały gwarancję należytej odporności jej ustroju w stosunku do ewentualnych przemian, a nawet i przejściowych katastrof politycznych z czem — wobec geopolitycznego położenia naszego dostępu do morza — na dalszą metę, w długofalowym ujęciu „przyszłej historii", nasza racja stanu powinna się liczyć, chociażby ze względu na zbytek przezorności, charakteryzujący każdą dobrą politykę.

Niewątpliwie moment obecny, występujący po przełomie, jakim było zażegnanie wojny światowej w r. 1938, stwarza nowe dyspozycje w naszym światopoglądzie morskim. Wiadomo, że cała energia Niemiec po osiągniętym zwycięstwie dyplomatycznym zwrócona będzie w najbliższych latach w kierunku odzyskania kolonii, lub innych źródeł surowcowych, a następnie częściowego ich zagospodarowania — co w sumie da efekt odbudowy Niemiec jako mocarstwa światowego. Nie przesądzając w tej chwili jaki może być udział Polski w nadchodzącym światowym targu o kolonie i surowce — którego termin zbliża się wielkimi krokami, jedno możemy stwierdzić napewno, że widoki osiągnięcia pewnych zdobyczy w tym targu dla Polski są wprost proporcjonalne do posiadanego przez nią instrumentu dla eksploatowania tych zdobyczy, jakim jest aktywny, portowy handel zamorski.

Nie ulega również kwestii, że przyszłe mocarstwo niemieckie w takiej czy innej formie będzie kwestionowało, jeśli już nie sam fakt dostępu Polski do morza — to w każdym razie zasięg terytorialny i ekonomiczny polskiej gospodarki morskiej. Dość na to mamy dowodów w historii, że, używając obrazowego porównania, — szyja organizmu ekonomicznego Polski mieści się u wylotu do Bałtyku, i że każda wroga ręka będzie przede wszystkim po tę szyję sięgała. Nie dość jest zdawać sobie z tego sprawę i szykować podstawy silnej obrony militarnej. Wojna zawsze jest grą, a kto siada do gry — nie może mieć 100%-wej pewności wygranej. Należy w praktyce nastawić naszą gospodarkę morską w ten sposób, aby oprócz roli aktywnej w międzynarodowej wymianie i w dziedzinie eksploatacji kolonialnej — miała wszelkie cechy trwałości i obronności w samej swej strukturze.

Poruszamy tu, najniesłuszniej wstydliwie omijane zagadnienie cywilnej, ekonomicznej obrony wybrzeża. Głównym i decydującym elementem tej obrony jest gospodarujący człowiek, którego egzystencja ekonomiczna jest związana w integralną całość z nieprzenośnym warsztatem pracy na wybrzeżu. Świadomie eliminując z naszych rozważań kwestię obrony wojskowej — określamy obronę cywilną przeto jako działalność gospodarczą Państwa i społeczeństwa mającą na celu trwałe osiedlenie w Gdyni i na wybrzeżu jaknajwiększej ilości ludności polskiej, opierającej swój byt na nieprzenośnych warsztatach pracy i stanowiącej kadrę odłamu zaludnienia Polski, zatrudnioną w gospodarstwie morskim. Wymiar tego skupienia oceniany jest przez znawców zagadnienia na ca pół miliona osób. Skupienie to będzie stanowiło trwałą asekurację dostępu Polski do morza w sensie polityczno - gospodarczym — na wypadek chwilowych niepowodzeń obrony militarnej — jest zatem niezbędnym elementem długofalowej polityki morskiej Państwa i drugą linią układu obronnego wybrzeża. W czasie pokoju — skupienie to powinno mieć charakter wielofunkcjonalnego centrum gospodarczego Polski, a nie tylko punktu przeładunkowego komunikacji morskiej, jak to ma miejsce dotychczas.

Stwierdzamy z naciskiem, że Gdynia, symbolizująca główny element naszego gospodarstwa morskiego w tej chwili absolutnie tym warunkom nie odpowiada, i że dotychczasowa polityka morska niedość skutecznie zmierza w kierunku nadania Gdyni wspomnianych cech obronności cywilnej. Według szacunku Biura Planu Regionalnego w Gdyni — na 120 tys. mieszkańców tego miasta zaledwie 40 tys. znajduje zatrudnienie w związku z gospodarką morską, ca 30 tys. stanowią bezrobotni — reszta zaś ludności opiera swój byt na handlu detalicznym, rzemiosłach i innych zawodach. Dochód społeczny Gdyni za r. 1936/7 jest szacowany na ca 60 milj. zł, tj. średnio 500 zł na jednego mieszkańca rocznie. Stanowi to zaledwie o kilkanaście procent więcej, niż wynosi dochód na głowę w całej Polsce, a ponad 50% mniej niż na głowę ludności w Polsce zachodniej.

Gdynia jest zatem jednym z najbiedniejszych miast Polski zachodniej głównie z uwagi na największy odsetek ludności bezrobotnej. Ze względu na wysoki stopień zmechanizowania urządzeń przeładunkowych portu — praca portu daje utrzymanie stosunkowo małej ilości osób. Dochód życia gospodarczego, opierającego swe funkcje na eksploatacji portu szacowany jest na ca 25 milj. zł. Strukturę gospodarczą portu gdyńskiego, w odróżnieniu od miasta — charakteryzują następujące liczby firm za r. 1936/7: firm transportowych I i II kategorii było w Gdyni — 97, firm handlowych I kat. — 11, wielkich przedsiębiorstw przemysłu portowego — 5. Fakt ten dostatecznie charakteryzuje Gdynię jako port przeładunkowy, nacechowany wybitnym niedorozwojem przemysłu i handlu. Jeśli mamy rozumować w ten sposób, że trwale gospodarujący na wybrzeżu człowiek jest w tej chwili najważniejszym celem naszej statycznej polityki morskiej — to musimy się zastanowić w jaki sposób stworzyć dla tego człowieka warsztat pracy i źródło dochodów.

Wiadomo, że organizacja transportowa Gdyni, nie tylko poważnie rozwinięta, lecz zdradzającą w pewnych kierunkach przerosty — poza flotą handlową — nie będzie mogła wchłonąć większej ilości ludzi i stworzyć im podstaw egzystencji. Dostateczne zatem podstawy ekonomiczne dla przyrostu ludności w mieście portowym Gdyni może dać tylko handel zamorski i wprzągnięty w tryby jego organizacji przemysł portowy. Po przykłady stwierdzające słuszność naszego rozumowania nie trzeba sięgać do dalekiego Hamburga czy Rotterdamu — wystarczy przyjrzeć się strukturze gospodarczej Gdańska, w którym dominującym producentem dochodu społecznego jest kupiec i przemysłowiec, a nie makler i spedytor. Wystarczy najpobieżniejsza znajomość kalkulacji kupieckiej, aby zdawać sobie sprawę, że zysk kupca na obrocie towarowym, a więc wyzwolony stąd dochód, jest niewspółmiernie wyższy od zysku sprzedawcy pewnych ubocznych usług transportowych, charakterystycznych dla przeładunku portowego. Dlatego też przyszły rozwój ekonomiczny Gdyni, rozmiary zaludnienia wybrzeża i struktura ekonomiczna naszego gospodarstwa morskiego, zawierająca cechy wyżej wspomnianej obronności, — są zależne w pierwszym rzędzie od rozwoju handlu i przemysłu portowego w Gdyni — i w tym kierunku powinna zdecydowanie iść nasza polityka morska. Nadmienić tu należy, że bynajmniej nie chodzi o przesunięcie już istniejących i odpowiadających swym szerokim, zadaniom handlu zamorskiego ośrodków dyspozycji handlowej z wewnątrz kraju na wybrzeże. Ośrodków tych w Polsce brak — lukę tę trzeba zatem wypełnić niemal ab ovo — budując te ośrodki na podglebiu organizacji portowej.

Widzimy zatem, że wielki handel towarowy w Gdyni, jest kluczem, który otwiera wiele drzwi. Przede wszystkim nadaje on sens ekonomiczny inwestycjom portowym w Gdyni i tamtejszej organizacji transportowej, staje się instrumentem aktywnej penetracji Polski w kierunku rynków światowych i gospodarki kolonialnej — pozatem zaś stanowi najważniejszą dźwignię w gospodarczym rozwoju wybrzeża aż do granic, w których rozwój ten nada całokształtowi naszej gospodarki morskiej cechy obronności cywilnej.

Już czas najwyższy jasno i wyraźnie postawić zagadnienie naszego programu morskiego i przekonać odpowiednie resorty, że polityka morska nie polega tylko na zarządzaniu takimi czy innymi przedsiębiorstwami transportowymi, na eksploatacji magazynów portowych i na dystrybucji ładunków dla spedytorów i maklerów. Polityka morska musi sięgać do dalszych, żywotnych w sensie państwowym zagadnień — musi stwarzać nowe warunki dla rozwoju polskich interesów zamorskich, — a nie wyczerpywać się na rozdzielaniu państwowych funduszów inwestycyjnych według dyspozycji i postulatów branżowych organizacji transportowych w Gdyni. Port handlowy — to gospodarujący ludzie i interesy, to kupcy, handel zagraniczny i eksploracja o charakterze kolonialnym, a nie nabrzeża, krany, przewoźnicy i tragarze.

Konstatując fakt predominancji kadłubowej polityki gospodarczej w Gdyni, tj. polegającej na jednostronnym popieraniu branż transportowych — stwierdzamy jednocześnie brak handlu portowego. W dotychczasowej polityce morskiej bezwzględnie pozytywnym i celowym akcentem, stwarzającym dobroczynne podstawy dla przyszłych interesów handlowych Gdyni — jest polityka żeglugowa, która doprowadziła do znacznego wzrostu tonażu handlowego na przestrzeni ostatnich dwuch lat. Wprawdzie chodzi tu tylko o tonaż przedsiębiorstw państwowych, gospodarujących kapitałami publicznymi — niemniej jednak dorobek na tym polu jest coraz poważniejszy. Jeśli prawdą jest, że handel idzie za banderą (aforyzm ten ma współcześnie wielu przeciwników) — to przyszły handel w Gdyni będzie mógł znaleźć częściowe oparcie w naszych liniach regularnych, tak jak nie znajduje go w trampingu.

Stawiając zarzut naszej polityce morskiej, że niedostatecznie dotychczas sprzyja rozwojowi handlu i przemysłu portowego w Gdyni — powołujemy się na wyniki, — które łatwo sobie uzmysłowić w dysproporcji, jaka zachodzi między rozwojem handlu i przemysłu, tj. obrotu towarowego w Gdyni, a rozwojem handlu usługami transportowemi. Najogólniej da się powiedzieć, że nasza polityka handlowa w porcie nie stwarzała odpowiednich warunków, tj. nie dawała kupcowi udogodnień i pomocy handlowej, które by skłoniły go do oparcia swych interesów o mechanizm portowy — pokrywając mu ryzyko transplantacji interesów z zaplecza i przyczyniając się do wyzwolenia tych wszystkich form handlu tranzytowego oraz eksploracji zamorskiej, które siłą rzeczy związane są z mechanizmem portowym. W pierwszym rzędzie mamy tu na myśli braki w strukturze administracji naszego handlu zagranicznego, która w wybitnie niedostatecznej mierze uwzględnia potrzeby handlu portowego. W Gdyni musi powstać zespół warunków w dziedzinie administracji handlu zagranicznego, który by pozwolił kupcowi na miejscu decydować o tranzakcji. Następnie jako czynniki pomocnicze dla rozwoju handlu i przemysłu portowego w Gdyni wymienić należy odpowiednią politykę podatkową, administracyjną (wyłączenie Gdyni z pasa granicznego), celno - skarbową (organizacja wolnej strefy), kredytową i inwestycyjną. Ramy niniejszego artykułu są zbyt szczupłe dla specyfikacji istniejących w tej dziedzinie postulatów. Jest ich

wiele, są na ogół znane i powinny czemprędzej być włączone do zagadnień programowych naszej gospodarki morskiej. W rozważaniach niniejszych staraliśmy się możliwie daleko trzymać od szczegółów. Gorącym naszym życzeniem jest, aby poruszony temat spowodował fachową polemikę, w której można by walczyć bardziej szczegółową bronią. W pierwszym rzędzie chodzi jednak o ustalenie zasad politycznych na terenie gospodarki morskiej, — zasad, które tworzą właściwy program. Zasady te powinny być wolne od nacisku dotychczasowej organizacji interesów morskich, poprostu dlatego, iż interesy te ukształtowały się jednostronnie, i nierównolegle do szerzej pojętych zainteresowań Państwa w gospodarce morskiej.

U W A G I

AUTOMAT, KTÓREGO NIE MA

Polityk gospodarczy nie specjalizujący się w zagadnieniach wiejskich ma z natury rzeczy skłonność do mniemania, iż poprzez korzystne ukształtowanie warunków rynkowych osiągnąć można w sposób skuteczny zwiększenie produkcyjności gospodarstw wiejskich, postęp techniczny w tych gospodarstwach, wzrost wydajności, poprawę kalkulacji i wzrost wielkości produkcji. Rozumowaniu takiemu sprzyja fakt, że w rolnictwie mamy do czynienia z liczbami wielkiemi, a zatem z takimi warunkami, w których procesy gospodarcze odbywają się — że się tak wyrazimy w sposób klasyczny, bez tych zakłóceń, jakie wnosi ograniczenie konkurencji w dziedzinę produkcji przemysłowej. Z powyższym poglądem solidaryzują się ci działacze wiejscy, którzy na tle zagadnień bieżącej polityki gospodarczej akcentują nade wszystko, by nie powiedzieć wyłącznie, zagadnienie opłacalności produkcji.

Rozumowania powyższego typu są napewno słuszne i całkowicie niesłuszne jednocześnie.. Wszystko zależy od tego czy kwestię korzystnych warunków rynkowych i korzystnego poziomu cen uważać będziemy za warunek konieczny dla rozwoju produkcji rolnej, czy też będziemy w tem chcieli widzieć warunek nie tylko konieczny, lecz również wystarczający. Pomijam tu oczywiście naiwny błąd „opłacalnościowców" mniejszego intelektualnie kalibru, którzy za kryterium oceny poziomu cen przyjmują kryterium najprostsze: im ceny wyższe, tem lepiej, tak jakby zagadnienie pojemności rynku było niezależne od kształtowania poziomu cen. Nie o to nam jednak w tej chwili chodzi. Trzymając się starej, a słusznej maksymy, iż krytykowany pogląd należy omawiać w jego najlepszej postaci, pozwalamy sobie zakwestionować nie powyższe zwulgaryzowane twierdzenie, lecz jego poprawniejszą redakcję, a mianowicie mniemanie, iż poprawa warunków rynkowych, ustalenie się takiego poziomu cen, który kalkulacyjnie powinien dla olbrzymiej większości warsztatów stanowić zachętę do zwiększania produkcji, a który jednocześnie nie grozi raptownym skurczeniem pojemności rynku, wystarcza do automatycznego uzyskania postępu w rolnictwie.

Dodajmy dla precyzji, że nie kwestionujemy bynajmniej twierdzenia, jakoby poprawa warunków rynkowych nie zdolna była wywołać automatycznego postępu w pewnej liczbie warsztatów, podobnie, jak nie kwestionowalibyśmy mniemania, że nawet w ciężkich warunkach rynkowych pewna liczba gospodarstw może przeżyć pokaźny nawet postęp.

Istota zagadnienia polega jednak na tem, że generalne, powszechne liczenie na automatyzm postępu gospodarczego jako wynik poprawy rentowności, byłoby błędem, gdyż pomimo działania prawa wielkich liczb poszczególne ogniwa procesu gospodarowania bynajmniej nie grają w sposób automatyczny. W idealnym schemacie ekonomii klasycznej założyć np. należy, że jeśli producent towaru x, którego produkcja jest rentowna, cierpi na brak środków kapitałowych, to wobec rentowności produkcji otrzyma on bez trudu potrzebne mu śroki z zewnątrz. Jak wygląda rzeczywistość? Wręcz odmiennie. Kredyt prywatny w warunkach wiejskich jest nie tylko kredytem drogim, jest również kredytem trudnym dziś do uzyskania. Wiele rzeczy złożyło się na to. Niewątpliwie poważną rolę odegrało tu ustawodawstwo oddłużeniowe. Ale bodaj czy nie większe znaczenie ma fakt, iż z pośród trzech źródeł kredytu prywatnego, jakimi ongiś był sąsiad, kupiec wiejski, oraz związani ze wsią niedawni przybysze do miasta (robotnicy, służba domowa) żadne nie może odegrać takiej, jak niedawno roli. Po okresie kryzysu suma niezaspokojonych potrzeb nawet w zamożniejszych gospodarstwach wiejskich jest na tyle znaczna, że oszczędności obracane są w pierwszej mierze na uzupełnienie luk we własnym gospodarstwie i tylko mała cząstka przeznaczana bywa na sąsiedzkie pożyczki. Kupiec wiejski, żyd, napewno dysponuje dziś znacznie mniejszymi kapitałami, nie tylko z racji kryzysu czy oddłużenia, lecz również o nawet przede wszystkim z racji wzrostu przeludnienia w handlu, rozbicia się na wielu terenach zmów lokalnych (hazuki), pojawienia się na wielu terenach spółdzielczości, słowem na skutek wzmożenia konkurencji i pomniejszenia marży zysku. Z pożyczkami czy przesyłkami „emigrantów" do miast jest to samo, co z przesyłkami emigrantów w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ustają one po pewnym czasie i ciągłość dopływu z tego źródła do wsi może być utrzymana tylko pod warunkiem ciągłości odpływu. Ta zaś została w czasie kryzysu zatrzymana. Ponadto na ogół biorąc, nawet najmniej kulturalny ciułacz miejski, ten, który niedawno lokował pieniądze u swego pociota na wsi, dziś lokuje je w PKO, które nie tylko drenuje pewną ilość środków pieniężnych ze wsi, lecz również wchłania ten strumień, który się przedtem do wsi kierował. A kredyt zorganizowany? Kredyt długoterminowy złączony jest przecież w sposób organiczny z uregulowaniem hipotek i stanu prawnego posiadania ziemi, zresztą na tym odcinku

panuje już od szeregu lat zupełna martwota, cała aktywność jedynej przecież instytucji, obsługującej w zakresie długoterminowego kredytu drobne rolnictwo, a więc PBR-u, skierowana jest ku finansowaniu przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, mniej lub więcej zresztą związanych z rolnictwem (z Żyrardowem włącznie). Kredyt krótkoterminowy stanowi stosunkowo jaśniejszą kartę. Jeśli jednak zajrzymy do Małego Rocznika Statystycznego, to z łatwością przekonamy się, że liczba kredytobiorców kredytu zaliczkowego jest zaledwie 29-krotnie większa, niż kredytobiorców w kredycie rejestrowym, odgrywającym analogiczną rolę dla wielkiej własności, pomimo, że liczba drobnych gospodarstw jest 200 razy większa od liczby folwarków. Rozpiętość tych dwóch cyfr jest tak duża, że powoływanie się na mniejszy stopień zainteresowania drobnych gospodarstw w produkcji zbożowej, na mniejszą tendencję i umiejętność wykorzystywania gry na wahaniach sezonowych ceny zboża, nie mogą tu wystarczyć. Dla wyjaśnienia tej sprawy sięgnąć musimy do zupełnie innego zagadnienia, zagadnienia zdolności obsługi ze strony istniejącej sieci kredytowej. Jest przecież jasną rzeczą, że poszczególna kasa Stefczyka czy kasa gminna w zakresie kredytu o charakterze na pół rzeczowym, na pół osobistym jakim jest kredyt zaliczkowy, obsłużyć może tylko pewne koło klienteli, mniej więcej znanej kierownictwu placówki. Zwiększenie zasięgu kredytu krótkoterminowego dla wsi to bynajmniej nie tylko kwestia środków doprowadzonych, stojących do dyspozycji aparatu kredytowego, ale także kwestia rozmiarów sieci, dalekiej dziś jeszcze od docierania do każdego terenu, potrzebującego obsługi kredytowej.

Zanalizowaliśmy nieco szerzej zagadnienie obsługi kredytowej, podobne wyniki otrzymalibyśmy, zastanawiając się nad każdym innym problemem materialnego umożliwienia, ułatwienia wysiłku gospodarstwa wiejskiego w kierunku zwiększenia produkcyjności.

Analogicznie przedstawia się sprawa z drugim, niematerialnym czynnikiem. Schemat klasyczny wychodzi z założenia, że w wypadku urentownienia produkcji producent potrafi powiększyć ją na miarę potrzeb rynku, rzeczywistość wskazuje, że nie zawsze ma to miejsce, nawet gdyby producent miał możność poniesienia kosztów dodatkowych potrzebnych nakładów. Wszędzie, gdzie powiększenie produkcji nie sprowadza się do procesów prostych technicznie, możemy mieć, a nieraz musimy mieć do czynienia z hamulcami z zakresu braku dostatecznych wiadomości fachowych. Tam, gdzie proces techniczny jest opanowany, a nakład kapitałowy dla zwiększenia produkcji nie wielki, produkcja rolnicza polska bardzo szybko reaguje na poprawę warunków rynkowych. Nn. pogłowie trzody chlewnej wykazuje i to nawet na terenach zacofanych, pełną prawidłowość wahań w stosunku do wahań ceny. Nic w tem dziwnego, skoro potrzebna do tego umiejętność techniczna jest rozpowszechniona, zaś doraźny nakład kapitałowy ogranicza się do kilko, czy kilkunastozłotowego wydatku na powiększenie liczby hodowanych prosiąt. Są jednak dziedziny produkcji wymagające dla rozwoju zdobycia nowych dla masy wiejskiej wiadomości technicznych. I nawet wtedy, kiedy zagadnienie kapitałowe nie gra zasadniczej roli, mamy do czynienia z trudnościami nie dla wszystkich przezwyciężalnemi. Na tym tle występują np. tego rodzaju niezmiernie pouczające zjawiska, jak to, że np. ustalenie od kilku lat korzystnych cen na siemię lniane dało w efekcie rozwój uprawy lnu nie na włókno i siemię, lecz tylko na siemię, przy drugoplanowym zupełnie traktowaniu kwestii włókna, z tem, że ta uprawa rozpowszechniła się nie w tradycyjnych okręgach lniarskich i nie w gospodarstwach chłopskich, lecz w gospodarstwach folwarcznych na zachodzie.

Z chwilą kiedy musimy stwierdzić, że pewne ogniwa niezbędne dla wzmożenia produkcyjności nie dają się uruchomić bez świadomego usunięcia materialnych i kulturalnych hamulców, mniemanie, iż postęp gospodarczy wsi może być automatyczną funkcją samej tylko poprawy rentowności, musimy uznać za fałszywe. Tak samo fałszywe jak mniemanie, że wystarczy nakręcić sprężynę, by zegarek szedł normalnie. Oczywiście sprężyna porusza zegarek, ale pod warunkiem, że całość mechanizmu zmontowana jest bez zarzutu i pracuje bez tarć.

g. t.

CIENIE CLEARINGU

Jest to napewno starą prawdą, że b. wysoki udział ze strony jakiegoś państwa w obrocie handlowym zewnętrznym drugiego państwa może tylko wówczas nie prowadzić na dłuższą metę do poważniejszych powikłań, jeżeli odpowiada mu stosunek wzajemności t. zn. jeżeli również w obrocie handlowym pierwszego państwa drugie posiada podobnie wysoki udział. Jeżeli jednak jest inaczej, jeżeli obroty handlowe dokonywane między dwoma państwami tak się układają, że dla jednego z tych państw są przeważającą albo bardzo znaczną częścią całości jego obrotów handlowych, a dla drugiego — o większych w ogóle obrotach handlowych — stanowią drobną albo b. drobną część obrotów handlowych, to z góry można powiedzieć, że prędzej czy później to drugie silniejsze gospodarczo państwo, licząc na trudności przestawienia handlu zewnętrznego przez pierwsze państwo bez poważniejszych strat i perturbacyj, wysunie takie żądania we wzajemnym traktacie handlowym, iż będą miały one w sobie coś z żądań rozbójnika.

Polska — jak wiadomo — posiada w tym zakresie bolesne doświadczenie, pamiętamy wszyscy ofiary, które musieliśmy ponieść. aby nie dać dyktować Niemcom w roku 1925 rabującego nas traktatu handlowego. Tem niemniej wydaje się, że nawet u nas nie docenia się dostatecznie, jak bardzo zaostrzyły się opisane powyżej niebezpieczeństwa w latach pokryzysowych, w latach wyjątkowo silnego skurczenia się rynków światowych, w latach zamiany z konieczności obrotów gotówkowych na stare formy handlu wymiennego. Przeciwnie chwilami zapominamy, że na clearing godziliśmy się przede wszystkim dlatego, że nie mogliśmy inaczej, bo nie stać nas było na wyszukanie zastępczych rynków dewizowych. I wystarcza, żebyśmy w clearingu otrzymywali przejściowo nawet wyższe ceny od światowych, a już słychać zachwycone głosy wynoszące obroty clearingowe nieomal na piedestał. A przecież nic łatwiejszego przy wymianie clearingowej, jak

przeciwnej stronie podnieść ceny na „szklane paciorki” sprzedawane w podobnych okolicznościach murzynom.

Kto jednak zdaje sobie należycie sprawę z tego, że obroty clearingowe zostały przez nas akceptowane, bo nie mogliśmy postąpić inaczej, ten, rozumiejąc całą specyficzność tych obrotów, będzie zawsze skłonny nawet kosztem doraźnych ofiar nie pozwolić rozrastać się tym obrotom jednokierunkowo w stosunku do silniejszego gospodarczo partnera. Jest rzeczą bowiem nie wymagającą chyba zbytniej wyobraźni, aby zdać sobie sprawę z trudności związanych z ewentualną koniecznością wycofania się (w niedogodnym dla nas momencie), z podobnie rozrośniętych obrotów clearingowych, oraz z konsekwencyj, gdybyśmy się na podobne wycofanie nie mogli zdobyć. Decydujący, silniejszy od nas nabywca, nie omieszkałby z pewnością postąpić tak, jak postępuje jedyny dostępny kredytodawca i do wszystkich lichwiarskich procentów wyznaczałby nam jeszcze taki, a taki odrobek w naturze.

I dlatego nawet tak związany obrotem clearingowym z Niemcami kraj, jak Bułgaria, musi skakać w nieznane, zmniejszając od czasu Anschlussu swój handel z Niemcami. Okazuje się bowiem, że „Niemcy eksportują produkty bułgarskie do innych krajów wzamian za złoto, a płacą za nie towarami w gorszym gatunku i materiałem wojennym, który już wyszedł z użytku”. Kto tego materiału, jako fachowiec, przyjąć się nie godzi, tego godziny życia są policzone. Prócz tego „Bułgaria straciła o 25 do 30 proc. ceny wywiezionych do Niemiec towarów (zaczęło się również od cen wyższych od światowych!), a przepłacają o 25 do 30 proc. za towary sprowadzane z Niemiec”. (Cytaty w cudzysłowach z „Gazety Polskiej” z dn. 18 października b. r.).

Najbardziej interesującym faktem w powyższych wiadomościach dotyczących Bułgarii jest niewątpliwie to, że w miarę umacniania się wysokich obrotów clearingowych z silniejszym gospodarczo państwem, również ceny otrzymane za eksportowane towary kształtują się niżej od cen światowych. Nawet tej osłody clearingu nie pozostawia umocniony w swojej pozycji partner. Wiem, że i tak musisz mnie właśnie sprzedać swoje towary, nie uważasz mnie więc chyba za tak głupiego, abym płacił więcej, niż zechcę. Oto twardy język, jaki zjawia się w odpowiedniej chwili, gdy obroty clearingowe z silniejszym partnerem zostaną dostatecznie wyhaussowane. Wówczas nie ma już w gospodarstwie narodowym uzależnionego kraju żadnej grupy, która by w imię swoich interesów pchała do zwiększania się obrotów clearingowych dla osiągania wyższych od światowych cen; wszystkie grupy eksportujące i importujące zostają pobite, rozpoczyna się odruchowa walka z panoszącym się rozbójnikiem. Ale czy walka ta jest już wówczas dla wszystkich do wygrania i czy szukanie pomocy dla zwycięstwa nie uzależnia w dzisiejszym stanie rzeczy kraju od innego, może bardziej humanitarnego grabieżcy? Ostrożnie z clearingiem! Niech nas nie zwodzi syreni głos chwilowych obrotów po cenach wyższych od światowych. Clearing przyjęliśmy z konieczności.

Stefan Zawadzki.

EKSPERYMENT MIMO WOLI

Groźba odpływu wkładów była od kilku lat straszakiem, przeciwstawianym ze strony domorosłych klasyków każdej nieco śmielszej koncepcji polityki finansowej. Nie analizując przyczyn możemy stwierdzić, że groźba ta „chwyciła”, że obawa przed katastrofalnymi rzekomo skutkami wycofywania oszczędności stała się prawie powszechna i że do wyjątków należeli ci politycy gospodarczy, którzy np. propagowali przepłoszenie wkładów jako środek ożywienia koniunktury. Niewątpliwie poglądy na zagadnienia walutowe i kredytowe uległy w ostatnim czasie sporej ewolucji. Tem niemniej jednak obawy przed ewentualnością odpływu wkładów były bardzo silne. Możliwości eksperymentalnego sprawdzenia jakiejś tezy są w życiu gospodarczym niezmiernie rzadkie, oczywiście bowiem nie wchodzi w grę eksperyment świadomy. W danym wypadku jednak przypadek zrządził, iż tego rodzaju eksperyment miał miejsce.

I cóż możemy stwierdzić na zasadzie obserwacyj, związanych z wycofywaniem wkładów, jakie w ostatnich tygodniach miało miejsce na sumę pokaźną? — Zbędnym jest oczywiście podkreślać, że te stwierdzenia dotyczyć mogą tylko danych warunków czasu i miejsca, nie mając charakteru jakiejś zasady powszechnej. Przede wszystkim wolno twierdzić, że doraźny wpływ wycofywania wkładów na życie gospodarcze jest korzystny. Wskaźniki konsumcji za miesiąc wrzesień pozwolą nam z chwilą opublikowania udokumentować to twierdzenie szerzej, w tej chwili przykładowo możemy stwierdzić, że konsumcja cukru wykazuje wzrost we wrześniu roku bieżącego w porównaniu z wrześniem ub. roku o 20,8%. Informacje z rynku potwierdzają, że to samo zjawisko wzrostu konsumcji miało miejsce w innych dziedzinach. Z całą świadomością używamy wyrażenia „wzrost konsumcji”, nie zaś wyrażenia „wzrost zapasów”, mimo, że oczywiście szereg towarów, w tym rzędzie cukier, były na tle niepokojów wojennych zakupywane na zapas. Jednakowoż w kraju o niskim poziomie spożycia, jakim jest Polska, można uważać za rzecz zupełnie niewątpliwą, iż przeniesienie zapasów od producenta do konsumenta powiększa spożycie, że innymi słowami spadek spożycia następnych po wrześniu miesięcy będzie mniejszy niż wzrost spożycia wrześniowego. W każdym zaś razie nastąpi przyśpieszenie obrotu, napewno wyczuwalne dla odnośnych gałęzi produkcji. Mamy więc, jak sądzę, prawo przypisywać przepłoszeniu wkładów rolę ożywczą dla przebiegu koniunktury od strony dóbr bezpośredniego spożycia. Inaczej mogło by być w zasadzie na odcinku pozostałych gałęzi produkcji. Uchwały Rady Banku Polskiego odrzucające ewentualność podwyżki stopy dyskontowej z jednej strony, z drugiej zaś postawa Rządu, który bynajmniej nie sięga po kurczenie inwestycyj publicznych, wskazują jednak, że nie mamy powodu obawiać się żadnych wstecznych procesów. Nie przeceniając zatem koniunkturalnego wpływu ostatnich wydarzeń w dziedzinie oszczędności, nie przeceniając ich tem bardziej, że niewątpliwie pokaźna część wycofywanych wkładów powróci do zbiornic oszczędnościowych w najbliższym czasie — możemy stwierdzić, że odpływ wkładów odegrał rolę leciutkiego in-

flacyjnego zastrzyku, nie dość silnego aby wywołać te zakłócenia, które przy nadmiernym zastrzyku inflacyjnym są zawsze możliwe, dość jednak silnego, by przynajmniej niektóre dziedziny życia gospodarczego wyczuły niektóre pozytywne strony tego zastrzyku.

Drugim momentem, zasługującym na podkreślenie, jest to, że panika wśród wkładców nie przekształciła się na panikę walutową. Oczywiście jesteśmy świadomi tego, że nie jest w warunkach reglamentacji dewizowej łatwo o wyładowanie się tego rodzaju paniki. Po prostu nie może być mowy o ucieczce do złotego dolara czy do złota, z chwilą kiedy nareszcie doszliśmy do jednowalutowości, kiedy rubel złoty czy dolar papierowy przestały być w Polsce nieoficjalnymi, lecz tem bardziej popularnymi środkami płatniczymi. Tem niemniej upoważnia nas to do stwierdzenia, że dobrze się stało, iż właśnie znajdujemy się w takich warunkach, w których ewentualna nieufność do waluty krajowej mogła się wyrazić najwyżej w zakupie towarów, a nie w ucieczce do „waluty pomocniczej". Warto więc podkreślić, że o ile przed kilku laty przez niezręczną agitację wyostrzyliśmy wrażliwość człowieka ulicy na wskaźnik pokrycia złotego, wmawiając weń, że cyfra wyższa lub niższa od 30-u % dajmy na to ma tu jakieś magiczne znaczenie, to dziś w nowych warunkach i w nowej atmosferze szeroka opinia nie wykazała na tę sprawę żadnej wrażliwości. Byłoby oczywiście przedwczesnym wyciągać stąd wniosek, że mechanizm pieniądza jest powszechnie dobrze rozumiany. Wolno jednak powiedzieć, że przestał on być powszechnie źle, wulgarnie pojmowany.

c. k.

NOTATKI

REWOLUCJA W WARSZAWIE

Rewolucja bezkrwawa i bezgłośna. Bronią rewolucjonistów są narzędzia pokojowej pracy, koszta nie dają się porównać nawet z kosztami chociażby parotygodniowej wojny domowej, czy zewnętrznej. Pomimo to termin „rewolucja" jest usprawiedliwiony, ba, narzuca się sam przez się dla określenia skali, stopnia zmian, jakie nastąpiły i ich bezpośredniego i pośredniego znaczenia.

Leje się nie krew, lecz tonny asfaltu, wapna, farby. Obala się nie barykady, lecz rudery, tamujące ruch uliczny, tamujące życie. Tworzy się nowe formy. Nie formy ustrojowe, — nowe formy życia codziennego.

Przemiany, zachodzące w urządzeniu i wyglądzie zewnętrznym Warszawy zasługują, ba, wręcz domagają się zdecydowanej, jawnej, mocnej pochwały. Nie cofamy się przed pomówieniem nas o panegiryk, nie cofamy się przed zarzutem robienia wielkiej sprawy ze spraw codziennych, takich, jak wygoda, czystość, lepsze zaspokojenie elementarnych potrzeb bytowania miejskiego. Nie bójmy się zastrzeżeń, że koniec końców chodzi o rzeczy, które każde cywilizowane, każde europejskie miasto ma już za sobą. A przede wszystkim nie poddawajmy się próbie zwekslowania sprawy na niewłaściwe tory oceny, próbie zasugerowania, że całokształt bez mała dokonywujących się w Warszawie inwestycyj ma charakter konsumcyjny, że wiele z nich ma na celu tylko upiększenie miasta, że zatem dla ekonomisty jedynym problemem jest problem wielkości obciążeń z tytułu tych inwestycyj powstających. Problem gorzki, bo przecież jesteśmy krajem ubogim, a inwestujemy tak znaczne kwoty nie rozbudowując naszego aparatu produkcyjnego. Z chwilą, kiedy fakty uniemożliwiły atakowanie polityki inwestycyjnej Warszawy z punktu widzenia jej pozagospodarczej celowości, z chwilą, kiedy planowość dokonywanej pracy stała się wyraźna, jej efekty oczywiste, a stosunek człowieka ulicy powszechnie pozytywny, wątpliwość, że wszystkie te skądinąd bardzo piękne, poczynania są koniec końców luksusem dla biednego kraju, stała się leit motivem krytyków. Czy słusznie?

Oczywiście, że pierwszym motywem uzasadniającym inwestycje wodociągowe, kanalizacyjne, asfaltowanie ulic, odnawianie domów, zakładanie zieleńców itp. jest motyw pozagospodarczy. Raz będzie to wygoda, kiedyindziej higiena, kiedyindziej jeszcze estetyka. Śmiem twierdzić jednak, że zawsze, w każdym wypadku osiąga się pewien efekt gospodarczy. Osiąga się go oczywiście tylko wtedy, jeżeli całość przemian ma na tyle dużą skalę, iż następuje coś, co nazwalibyśmy zmianą oblicza miasta, zmianą warunków życia w Warszawie. Wtedy w grę wchodzi już nie tylko szczędność czasu na przejazdach, oszczędność na mniejszym zużyciu środków lokomocji przy lepszych nawierzchniach, oszczędność na tańszej wodzie, oszczędność na zdrowiu ludzkim itp. Wchodzi w grę jeszcze ponad to stopniowa, ale tem nie mniej głęboka przemiana w psychice gospodarczej mieszkańców. Znawcy zagadnienia mieszkań robotniczych stwierdzają wszyscy zgodnie, że przeniesienia z brudnej, wilgotnej i ciemnej suteryny do higienicznego i jako tako estetycznego mieszkania powodują zupełny przełom w życiu rodziny robotniczej. Zmienia się budżet, maleją wydatki na wódkę, która ma przesłaniać rzeczywistość, rosną wysiłki i wydatki w kierunku upiększenia i urządzenia mieszkania. Napewno zmienia się wydajność pracy, zmienia się stosunek do pracy, zmieniają się możliwości wykorzystania wolnego czasu. Sądzę, że taką samą miarę należy stosować do tych przemian, jakie nastąpiły w urządzeniu, uporządkowaniu i przyozdobieniu Warszawy. Mamy tak samo prawo oczekiwać przemian w stylu życia setek tysięcy mieszkańców naszej stolicy. Mamy również prawo oczekiwać wtórnych rezultatów osiągnięć Warszawy — podnoszenia się poziomu urbanistycznego miast i miasteczek polskich. Przykład jest zaraźliwy i bardzo często wyasfaltowanie ulic warszawskich, można uważać za je-

den z powodów zasypania kałuży z błotem, na głównej ulicy Grajdołka.

Oczywiście, powyższe uwagi na usuwają bynajmniej możliwości stawiania zarzutów, że to, czy owo jest zbędne, względnie, że ta, czy owa potrzeba po dzień dzisiejszy zaspakajana hierarchicznie, zasługiwałaby na wcześniejsze uwzględnienie od wielu zaspokojonych potrzeb. Można i należy się również zastanowić, czy i jak pokolenia przyszłych warszawiaków radzić sobie będą ze spłatą zobowiązań, któremi my dziś ich obciążamy. To wszystko jednak nie może naszym zdaniem, prowadzić do zrewidowania zasadniczego poglądu. Poglądu, który sprowadza się do stwierdzenia, że warszawiak, który przez lat kilka nie widział stolicy, dzisiaj by jej, jak się to plastycznie mówi, nie poznał, i że ta przemiana nie może być traktowana jako luksus, jako zaspokojenie potrzeb drugorzędnych przy nierozwiązanym problemie stworzenia podstawy egzystencji, podstaw zarobkowania, lecz, że przeciwnie, jest jednym z niezbędnych fragmentów kształtowania rzeczywistości polskiej na nowocześniejszą, bardziej europejską formę.

Co zaś zasługuje na specjalne podkreślenie, to 3 cechy: 1) Znaczny stopień planowości dokonywanych zmian. Przykładem tego jest np. Wybrzeże Gdańskie, które pewnego pięknego dnia związało w jedną całość cały szereg fragmentów urbanistycznych, już poprzednio troskliwie opracowanych, mimo, iż przy braku arterii komunikacyjnej, znajdowały się one poza orbitą życia Warszawy. 2) Dość znaczny rozmach w planowaniu w postaci liczenia się nie tylko z dzisiejszym układem życia, lecz i z jego dynamiką, wyciągnięcie wniosku z tego, czego nas nauczyło doświadczenie dotychczasowe, że mianowicie rozwój stolicy szedł prędzej w wielu wypadkach niż pozornie na wyrost tworzone urządzenia. 3) Równomierność w traktowaniu centrum i peryferyj warszawskich, sięgnięcie do najbardziej „zakazanych", dosłownie, żadnemu mieszkańcowi centrum nieznanych przedmieść.

Oczywiście, refleksje powyższe są refleksjami laika, który opiera się głównie o obserwacje naoczne i doraźne informacje, których zresztą Zarząd Miejski słusznie nie skąpi. Analiza budżetu miejskiego i cyfrowych planów inwestycyjnych pozwoliłyby uzupełnić te wywody pewną oceną, gdzie jest granica dla słusznej tendencji, w którym miejscu trzeba będzie i można będzie powiedzieć sobie, że proces urządzania się Warszawy na nowej stopie życia powinien być zahamowany, aby nie nastąpiły przerosty. Nie sądzę jednak, aby to był moment bliski. Nie sądzę na podstawie przesłanek, które komuś mogą się wydawać bardzo nierzeczowe, choć tem bardziej są charakterystyczne. Sądzę na podstawie zaufania. Na podstawie rozumowania, które napewno jest doktrynalnie błędne, ale niezwykle użyteczne praktycznie. Po prostu na podstawie tego, że skoro widzi się, że dotychczasowe prace były zrobione z sensem, ba, że zasługują na pochwałę, to wierzy się, że tak samo pomyślnie przeprowadzone będą i dalsze. Skoro zaś już mówimy o momencie zaufania, które przecież jest także pozytywnym dorobkiem życia publicznego, to pozwólmy sobie na podkreślenie, że zaufanie to zdobyte zostało nie tylko wśród sfer inteligenckich, lecz objęło masy „szarych ludzi". Spór, który zdarzyło się słyszeć piszącemu te słowa, w którym jedna „paniusia" dowodziła, że Starzyński napewno jest z Woli, druga zaś upierała się, że na pewno z Mokotowa, obie zaś argumentowały tem, że gdyby było inaczej to przecież nie zrobiłby w danej dzielnicy takiego porządku, — spór ten jest wyrazem tego zaufania i na pewno największą pochwałą, jaka spotkać może sprawcę warszawskiej rewolucji.

t. k.

ZŁY SYSTEM

Przed kilku laty w administracji handlu zagranicznego ustanowiliśmy osobliwe i nigdzie już nie powtórzone rekordy. Mamy na myśli sławny wyczyn ujawniony w odpowiednim czasie przez „Gospodarkę Narodową" o 37-miu systemach wiązania przywozu towarów z wywozem. Od tej chwili upłynęło kilka lat. Ilość systemów kompensacji i wiązań w handlu zagranicznym znakomicie zmalała. Ogromnie zwężony został ich zakres. Minął okres „impresionizmu" w handlu zagranicznym i okres chwały jego twórców, pozostawiając po sobie „zmęczenie eksportowe" i .... złe wspomnienia.

Są podobno jeszcze interesy szczególne, dobrze nadające się „do uregulowania" przy pomocy pewnych systemów kompensacji. Do takich należą rzekomo obroty nie objęte przez obowiązujące umowy dwustronne, zwłaszcza z dalekim partnerem, gdzieś za morzem. To też niektóre z systemów kompensaty towarowej pokutują do dnia dzisiejszego, gmatwając nasze życie gospodarcze i administrację handlu zagranicznego i siejąc zamęt w polityce handlowej.

Życie dostarcza nam dalszych dowodów, że także ta pozostała jeszcze w zastosowaniu część kompensaty jest zła. Wychodzi przy tem na jaw rzecz większa i bardziej poważna.

Wszak sądziliśmy do niedawna, że import kawy z Brazylii i cały eksport kompensacyjny z nim związany wyrobi z czasem kompensacie prawo obywatelstwa. Wiadomo nam, że autorzy tego systemu przykładali do jego powodzenia na tym odcinku ogromną wagę. A co się stało? Okazuje się, że większość tranzakcyj wywozowych zafakturowanych do Brazylii, na podstawie których udzielano pozwoleń przywozu była dotąd całkowicie bądź częściowo fikcyjna. Oto kilka przykładów z ostatnich miesięcy:

Tranzakcja szynek na 40.000 zł została przedysponowana z Rio de Janeiro do Nowego Yorku, a firma odbiorcy ad hoc powołana do życia jednocześnie zlikwidowana.

Wywóz papieru — tranzakcja na 1.120.000 zł całkowicie fikcyjna; odbiorca zlikwidowany w tych samych warunkach.

Cukierki i pomadki — tranzakcja na 52.000 zł — towar do Brazylii nigdy nie doszedł.

Tkaniny jedwabne — ok. ½ miliona złotych — również nie nadeszły nigdy. Guziki rogowe — około 100.000 zł — nawet gdyby nadeszły, nie byłyby zakupione, ponieważ suma ta pokryłaby półtoraroczne zapotrzebowanie Brazylii na wszelkie guziki w ogóle.

Gry towarzyskie, zgłoszone przez jedną z firm katowickich na 41.000 zł wprawdzie osiągnęły urząd celny w Brazylii, ale odbiorca wcale po nie się nie zgłosił, tak, że po pewnym czasie zostały one zniszczone; należy nadmienić, że transport został oceniony przez władze celne na kilkanaście złotych. Samoloty wywiezione do Brazylii w ubiegłym roku przy akompaniamencie całej prasy przez jedną z poważniejszych firm zostały zadeklarowane 100% wyżej aniżeli suma osiągnięta, a więc 50% tranzakcji należy właściwie uważać za fikcyjną. Chmiel dostarczony w ramach tej kompensaty z Polski do Brazylii składano przez 10 miesięcy; sprzedano go wreszcie w stanie zleżałym za bezcen, itd. itd.

Z tych kilku przykładów raz jeszcze wyprowadzamy pewne wnioski. Po pierwsze sfer prywatno - gospodarczych nie można zmuszać do wywozu za wszelką cenę, zwłaszcza jeśli jednocześnie pogarsza się im i komplikuje warunki tranzakcji. Wszak trudno być odrazu specjalistą dla kawy, szynek, papieru, guzików, tkanin i gier towarzyskich. Napewno takie warunki wywozu, które obniżają fachowość, rozpraszają kapitał i komplikują kalkulację nie są warunkami odpowiednimi dla handlu zagranicznego.

Kompensowanie, a więc wiązanie importu z eksportem uniemożliwia właściwe zastosowanie tych czynników, jest środkiem mechanicznym i ryzykownym. Na podstawie przytoczonych przykładów można twierdzić, że demoralizuje eksportera, obniża opinię o naszym towarze i podwyższa ceny towarów przywożonych (w naszym przykładzie — kawy, zupełnie niepotrzebnie). Jesteśmy zdania, że ochrona rynku przy pomocy kontyngentów jest złem, czasem koniecznym. Jeśli ono istnieje, i jeśli przynosi rentę kontyngentową importerowi, wówczas konfiskata tej renty i przeniesienie równowartości na inne cele, np. popieranie wywozu, powinno być funkcją publiczną, analogicznie jak w innych formach ochrony i pomocy celnej.

I jeszcze inny punkt widzenia. Na jednym odcinku w okresie kilku miesięcy wprowadzono w błąd naszą administrację handlu zagranicznego w siedmiu przypadkach, przedstawiających wartość przeszło 2 milj. zł. Czy rzeczywiście tak niedoskonałe są sposoby kontroli faktur i selekcji przedsiębiorstw handlowych?

g. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.